KOLUMB

PAMIĘTNIK PODRÓŻY.

Ner 35.

Z PIERWSZÉJ POŁOWY CZERWCA 1829 ROKU.

XIII.

REISE NACH BRASILIEN etc.

Podróż do Brazylji PP. Spix i Martius, członków Akademji umiejętności w Munich etc.; przedsięwzięta na rozkaz króla Bawarskiego MAXYMILJANA JÓZEFA *I.* — *Tom I. in* 4° *Munich* 1823.

Brazylja, którą niegdyś tylko pod względem handlowym się zajmowano, stała się za dni naszych przedmiotem powszechnéj ciekawości. Skutkiem wypadków politycznych które na początku wieku tego wstrząsnęły Europą, wznio-

sła się Brazylja z niskiego położenia do rzędu mocarstw niepodległych; nie obawia się już ona aby widziała swe dobro poświęcone dobru metropoli; a oswobodzona z przeszkód które przez przeciąg lat kilku zgubny wpływ na przemysł jéj wywiérały, może dziś swobodnie używać korzyści jakich jéj udzieliła natura. Nie wiele krain w istocie było przez nią tak jak Brazylja uposażonych. Na rozległéj przestrzeni swojéj zawiéra ona okolice, w których panują upały zwrotnikowe, oraz inne których klimat jest taki jak pod pasem umiarkowanym; pasma gór i dolin; lasy pierwotne i niezmierne stepy. Ziemia Brazylji jest nadzwyczajnie żyzna: zaledwie ziarno zostanie jéj powierzone, zaledwie wydobędzie się na wierzch, młoda roślina rozwija się w kilka dni z zadziwiającą szybkością; dla rozmnożenia niektórych drzew, dosyć jest uciąć gałązkę i w ziemię ją wsadzić. Nietylko ziemia ta wydaje dobrowolnie bardzo wielką rozmaitość szacownych roślin, ale nadto zdolna jest do uprawiania na niéj płodów roślinnych średniéj Europy i Indji wschodnich; wino, grusza, brzoskwinia, morela udają się tutaj równie dobrze jak cynamon, pieprz, gwoździki, muszkat i herbatowa krzewina. Niechaj jednakże nikt nie mniema, iżby w tém przesada poetycka być miała; tak nam malują ową krainę poważni natury badacze, co wiele lat na jéj łonie spędzili.

Gdyby się zapytano zkąd pochodzi iż pośród

ylu dobrodziejstw przyrodzenia, sztuki, przemysł, rolnictwo, nie uczyniły wielkich postępów w przeciągu lat dwudziestu które upłynęły od epoki przeniesienia się dworu Lizbońskiego do Rio-Janeiro, odpowiedź trudnąby nie była. Zmiana nawyknień ludu, uczynienie go pracowitym, czynnym, przemyślnym, z niedołężnego i oddanego próżniactwu aż do téj epoki, nie może być dziełem jednéj chwili: zmiany takiéj tylko od nowego pokolenia oczekiwać można. A oprócz tego, szczupła ludność Brazylji, na ogromnéj powierzchni kraju rozproszona, stawia wielkie przeszkody wzrostowi jéj pomyślności. Dla braku rąk do pracy potrzebnych, nie można tam ani zakładać rękodzielni któreby przerabiały surowe płody ziemi, ani prowadzić wielkich gościńców i budować mostów dla ułatwiania związków między rozmaitemi cesarstwa prowincjami, ani przedsiębrać karczunków dla uczynienia kraju zdrowszym; zaledwie dostateczna jest liczba ludzi do prowadzenia rzemiosł najkonieczniéjszych. Bez wątpienia, napływ ludności znacznie się powiększył od czasu jak Rio-Janeiro stało się siedliskiem monarchy; ale choćbyśmy nawet przyjęli że liczba przybyłych na osiedlenie cudzoziemców przenosi do 100,000, byłoby to zawsze słabym zasiłkiem dla kraju dziesięć razy tak wielkiego jak Francja, którego ludność zaledwie czterech miljonów dochodzi. A jeszcze policzyć w to należy pokolenia krajowców, któ-

rych stan barbarzyński jest taki, iż nie dozwala ich liczyć pomiędzy żywioły przyszłéj pomyślności Brazylji. Rząd wprawdzie stara się zamienić ich w użytecznych obywateli: wyznaczył nawet w r. 1808 osobną kommissję (Junta da civilisaçaô dos Indios), która udzieloną sobie miała bardzo rozległą władzę, i mogła najdzielniéjszych używać środków dla ucywilizowania Indjan; ale aż dotąd rezultaty środka tego były prawie żadne. Niegodziwe przez kilka wieków postępowanie Portugalczyków z Indjanami, a które i teraz kiedy niekiedy się wznawia, uczyniły tych ostatnich tak nieufnymi, iż ci w najdobroczynniéjszych ofiarach rządu mniemają widziéć zasadzki na siebie wymierzone: łatwo pojąć można iż uczucia takie muszą bardzo utrudniać wszelkie zbliżenie się wzajemne dwóch ludów. Być może również że i krajowcy Brazylscy nie są zdolni do przyjęcia cywilizacji; przynajmniéj nie uprzedzeni przeciwko nim podróżni wystawiają ich jako próżniaków, nieudolnych, obojętnych na uczucia roskoszy lub smutku, i nie mających najmniejszéj ciekawości: niełatwo zapewne skłonić podobnych ludzi do porzucenia tułaczego życia, do tworzenia osad stałych i oddania się porządnéj pracy. Zresztą, liczba ich nie jest znaczna, a ponieważ małżeństwa nie są bardzo płodne, liczba ta przeto ciągle się zmniéjsza. Nie od krajowców więc spodziéwać się można zaludnienia Brazylji, ale raczéj od osadników wszel-

kich narodów, których rząd obecny stara się ściągać, i od wzrostu ludności portugalskiéj któréj szczególniéj sprzyja.

Wypadek który podniósł Rio-Janeiro do rzędu rezydencji monarszych, równie był dla nauk jak dla pomyślności kraju korzystnym. Niegdyś Portugalczykowie sami zwiedzali Brazylję jedynie w kupieckich widokach, a cudzoziemców troskliwie od niéj oddalano, tak iż pod względem który uczonych interesuje, można ją było nazwać ziemią nieznaną. Lecz zaledwie rodzina królewska osiadła w Rio-Janeiro, dozwoliła natychmiast wstępu do kraju cudzoziemcom wszelkich narodów. Wielu naturalistów korzystało z tego pozwolenia, a niektórzy z nich, jako to: hrabia Hofmannsegg, PP. Eschwege, Freireis i Siebers wydali pamiętniki zawierające owoce swych badań nad rozmaitemi gałęziami historji naturalnéj kraju Brezylskiego. Późniéj, przy zaślubieniu arcy-xiężniczki Leopoldyny z Don Pedrem, dwór wiedeński wysłał do Rio-Janeiro kilkunastu uczonych, którzy mieli polecone poznanie Brazylji pod względem uczonym, a król Bawarski przydał do ich liczby dwóch członków Akademji umiejętności z Munich, PP. Spix i Martius, pierwszego zoologa, drugiego botanika. Za powrotem do Europy, ci dwaj akademicy ogłosili opis podróży swojéj, któréj mamy pod ręką tom pierwszy, wydany z wielką okazałością typograficzną. Pominiemy część naukową

która do nas nie należy, i przestaniemy na wyjęciu z dzieła niektórych szczegółów, mających zaletę nowości, o miastach Rio-Janeiro i San-Paulo.

Rio-Janeiro albo S. Sebastiao leży przy wstępie do wielkiéj zatoki, na wązkim klinie ziemi przedłużającym się od południa ku północy. Miasto zbudowane jest na przestrzeni dosyć równéj; od południa i od południo-zachodu panują nad niém wzgórza łączące się z łańcuchem gór *Corcovado*, nie wysokich i lasami w całéj rozległości okrytych. Część miasta najbardziéj ku północy leżąca, albo stare miasto, składa się z ośmiu równo-odległych ulic, dosyć wązkich, ale pod sznur ciągnionych, i przeciętych pod kątem prostym przez wiele poprzecznych ulic; wielki plac *Campo de S. Anna* oddziela ją od nowego miasta, zbudowanego w większéj części od czasu przybycia dworu, i połączonego mostem z trzecią częścią, *Bairro de Mato-porcos*. Domy nie są bardzo wysokie i zbudowane z granitu; fasady ich były dawniéj oszpecone wystawami zamkniętemi, które dziś z rozkazu rządu ustąpiły miéjsca ładnie zbudowanym gankom. Ulice są brukowane granitem i opatrzone bocznemi chodnikami, ale słabo są oświecone jedynie świecami które przed obrazami P. Marji zapalają. Pomiędzy publicznemi budowlami najznakomitsze są: dawniéjsze kollegjum Jezuitów, klasztór Benedyktynów, pałac biskupi; *Forte da Conceiçado*; ale wszystkie są zbudowane w

bardzo nikczemnym smaku; pałac nawet cesarski, dawna wice-królów rezydencja, nie jest gmachem godnym monarchy wielkiego państwa. Jedyny pomnik budownictwa zasługujący na wzmiankę, jest wodociąg, ukończony r. 1740, który z góry Carasvado prowadzi do miasta wodę na potrzeby jego służącą.

Ludność Rio-Janeiro składa się powiększéj części z Portugalczyków i potomków Portugalczyków, już to białych już kolorowych. Rzadko postrzedz tam można Amerykanów rodu krajowego. Żeglarze z ogorzałemi twarzami, których wielką liczbę w porcie widziéć można, i których niektórzy podróżni pomięszali z Indjanami, są mulaci.

Przed przybyciem króla, liczono w Rio około 50,000 mieszkańców, z których większa część była czarnych lub kolorowych: w 1817 miasto i przedmieścia zawiérały przeszło 110,000 ludności. Od r. 1808 aż do 1817, około 24,000 Portugalczyków przeniosło się z Europy do Brazylji, a ten znaczny napływ, do którego przydać jeszcze należy wychodzców angielskich, francuzkich, hollenderskich, niemieckich i włoskich, którzy osiedli w Rio jako kupcy i jako rzemieślnicy, musiał bardzo złagodzić charakter narodowy mieszkańców, chociażby tylko przez zmienienie stosunku mieszkańców białych do kolorowych. Ale mianowicie pomiędzy zamożnymi kupcami stolicy równie jak prowincji Minas-

Geraes i S. Paulo, postrzedz można wydatnie, jak daleko przybycie nowych osadników pomnożyło potrzeby życia, i jak wiele tém samém przyczyniło się do nadania nowego bodzca przemysłowi. Brazylja nie posiada szlachty właściwéj; przed przybyciém króla, duchowni, wyżsi urzędnicy oraz właściciele gruntów i kopalń, którzy żyli na prowincji, posiadali w pewnym względzie przywileje i odznaczenia szlacheckie. Rozdając im tytuły i urzędy, monarcha ściągnął ich do stolicy, gdzie oswoili się wkrótce ze zbytkiem i sposobem życia europejskim i zkąd wywiérają na inne klassy ludu wpływ zupełnie odmienny od tego jaki dawniéj wywiérali. Prowincje nawet, których mieszkańcy zwiedzają bardzo często Rio-Janeiro, już to z ciekawości, już w celu zebrania tam majątków, nawykają do uważania tego miasta za wzór do naśladowania, i przyjmują obyczaje i zwyczaje europejskie.

W ogólności, niewątpliwą jest rzeczą, iż Brazylja bardzo wiele zyskała na tém, że nie jest już rządzoną przez wice-królów. Od czasu przybycia dworu, sprawiedliwość, skarbowość, policja, lepiéj uorganizowane zostały; podatki rozłożono regularniéj i sprawiedliwiéj; oznaczono ściśléj atrybucje urzędników publicznych, i rząd wielkie uczynił ofiary, celem rozszerzenia wiadomości pożytecznych i ożywienia przemysłu narodowego. Nieszczęściem, Brazyljanie zbyt jeszcze pamiętają o zgubnym wpływie rządu o-

sadniczego, pod którym przez dwa wieki jęczeli, aby umieli ocenić tak jakby powinni, mądre widoki rządu, i aby je przez usiłowania z swéj strony wspierać mogli. Aż dotąd więcéj okazali skłonności do przejmowania od Europejczyków wszelkich rodzajów ich zbytku, aniżeli do postępowania za ich śladami w zawodzie sztuk i umiejętności. Dla tego więc nie należy się spodziéwać znaleść w ich stolicy tych wielkich i użytecznych zakładów naukowych jakie Europa posiada.

Rio-Janeiro ma bibljotekę z 60,000 tomów złożoną, którą król Jan VI. z Portugalji z sobą sprowadził. Jest ona otwarta dla publiczności codziennie, ale sale jéj są zawsze prawie próżne, tak dalece Brazyljanie doznają mało potrzeby nabywania wiadomości. Z tychże samych przyczyn, jedyny dziennik literacki, który probowano wydawać w Rio, pod tytułem *O Patriota*, nie mógł się dłużéj nad kilka lat utrzymać, chociaż wielka rozmaitość przedmiotów w nim umieszczanych, powinna była uczynić go przystępnym dla licznych czytelników. W całém państwie wychodzą tylko dwie gazety polityczne: *Gazeta del Rio de Janeiro*, w stolicy, i *Idad de ouro do Brasil*, w Bahia; i te nawet bardzo mało są czytane. Mieszkańcy środkowych zwłaszcza prowincji, żyjąc w oddaleniu od siebie i rzadko wzajemnie się udzielając, mało się zajmują wypadkami politycznymi, i przestają na wiadomo-

ściach, jakie im przynoszą kupcy ich, zwiedzający raz na rok porty morskie.

Stolica posiada wiele zakładów naukowych uprzywilejowanych od rządu; najlepszym z tych jest liceum albo *Seminario de S. Joze*, gdzie uczą języków: łacińskiego, greckiego, francuzkiego i angielskiego, retoryki, jeografji, matematyki, filozofji i teologji. Większa część professorów należy do stanu duchownego, który wszelako nie tyle wpływa na oświatę publiczną jak za czasów jezuitów. Szkoła lekarska niedawno utworzona, jest bardzo użytecznym zakładem, tém więcéj, iż w prowincjach środkowych kraju lekarze są bardzo rzadcy. Szkoła wojskowa (*academia militar real*) doznaje szczególnéj protekcji króla, i posiada wybornych professorów, ale jéj zbywa na uczniach; natomiast, kursa wykładane w instytucie zwanym *Aula de commercio*, w rozmaitych przedmiotach z handlem związek mających, są bardzo uczęszczane.

Zaledwie król przybył do Brazylji, powziął zamiar założenia uniwersytetu, już to w Rio-Janeiro, już San Paulo. Jeden z członków akademji lizbońskiéj J. Garcia Stockler, przedstawił plan, rzucony podług wzoru uniwersytetów niemieckich, ale wykonanie jego znalazło mocny opór w wielu osobach wpływ mających, które pragnęły utrzymać Brazylję w stanie osady zawisłéj od metropoli, i projekt ten upadł. Wszelako, utworzenie uniwersytetu mogłoby było je-

dynie obudzić Brazylję z otrętwienia umysłowego w jakiém zostawała, i podnieść ją do rzędu wielkich mocarstw. Dopóki to nie nastąpi, młodzi Brazyljanie będą musieli dla wykończenia edukacji udawać się do uniwersytetu w Koimbra; obowiązek zaś ten, jakkolwiek nieprzyjemny, przynosi im tę korzyść jednakże, iż poznać mogą Europę i jéj instytucje.

Utworzenie akademji Sztuk pięknych, która swój byt winna ministrowi stanu *Araujo Conde da Barca*, nie przyniosło dotąd spodziewanych korzyści. Na próżno rząd przywołał do Brazylji artystów francuzkich, malarzy, snycerzy, rytowników, budowniczych, w nadziei iż płody ich talentów i ich lekcje obudzą między Brazyljanami smak do sztuk pięknych; postrzeżono w krótce, iż chwila ta jeszcze nie nadeszła. Kiedy nowe zwyczaje nadadzą Brazyljanom więcéj energji, więcéj działalności, więcéj ruchu aniżeli dotychczas mają, w tenczas dopiéro można ich będzie widzieć przenoszących korzyści i przyjemności jakie sztuki nadobne przynoszą, a których bez usiłowań nabyć nie można, nad te jakie im piękny klimat bez żadnych starań przedstawia. Co do literatury, Brazyljanie, szczególniéj w klassach wyższych towarzystwa, czytają z upodobaniem dzieła francuzkie, a liczba ich corocznie do Brazylji wprowadzana przechodzi wszelkie wyobrażenie. Trudno jest ten gust tłumaczyć, tém bardziéj, iż Portugalczykowie,

a têm samém i Brazyljanie mają więcéj stosunków politycznych i handlowych z Anglikami aniżeli z Francuzami; wszelako język francuzki coraz bardziéj się rozszérza. Nie jest jednakże dotąd językiem towarzystwa, ponieważ tylko mężczyzni umieją po francuzku i po angielsku; kobiéty zaś jeszcze się nie nauczyły używać innéj mowy oprócz ojczystéj.

Rio-Janeiro uchodzi pospolicie za jedno z najmniéj zdrowych miast w Brazylji; klimat jest tam gorący i wilgotny, co pochodzi szczególniéj z położenia miéjsca, ponieważ łańcuch gór Corcovado i wyspy zamykające wstęp do zatoki, wzbraniają wolnego przewiewu wiatrów. Nie można wszelako powiedziéć iżby tam panować miały choroby do miéjsca przywiązane, a jeśli śmiertelność jest większa aniżeli wewnątrz kraju, przyczyny tego szukać należy w wielkim napływie cudzoziemców, zrodzonych w najrozmaitszych klimatach. Najlepsza rada jaką dać można Europejczykom udającym się do Rio-Janeiro, jest ta, iżby przyjęli sposób życia Brazyljan, który zależy na têm aby nie być wystawionym na skwar słoneczny przez dzień, aby unikać wilgoci wieczornéj, używać więcéj roślinnego aniżeli mięsnego pożywienia, wstrzymywać się od napojów spirytusowych, i zachowywać we wszystkiém wielkie umiarkowanie; przy tych ostrożnościach, zdrowie ich nie będzie więcéj

narażone w Brazylji jak w jakimbądź innym kraju.

Przed przeniesieniem dworu Lizbońskiego do Rio-Janeiro, miasto to równie jak wszystkie miasta Brazylji, z Portugalją tylko mogło handel prowadzić; handlarze Portugalscy, nie tylko stanowili cenę płodów brazylskich jakie im nadsyłano, ale dawali za nie w zamian produkta przemysłu europejskiego, z warunkami jakie im się podobało oznaczyć. Dekret królewski, ogłoszony w lutym 1808, uwolnił Brazylję od tych ścieśnień, i otworzył porty jéj dla wszystkich krajów; od tego to dekretu zaczyna się nowa epoka w historji kraju tego. Dzisiaj Rio-Janeiro sprowadza bezpośrednio, z Anglji, Francji, Niemiec, Rossji, Szwecji, Krajów zjednoczonych, z nadbrzeżów Afryki i z Indji wschodnich, rozmaite przedmioty których kraj do zużycia swego potrzebuje; wysyła podobnież do portów Europy, Azji i Ameryki połnocnéj płody przyrodzone ziemi brazylskiéj, w liczbie których, po materjach złotych i drogich kamieniach, przytoczyć należy mianowicie bawełnę, cukier i kawę; korzyści z tego rozległego handlu, jakie odnosiły w większéj części miasta Lizbona i Oporto, zbogacają dzisiaj stolicę Brazylji, która w krótce stanie się bez wątpienia jednym z najbogatszych portów morskich.

Trudno jest oznaczyć z pewnością massę pieniędzy brzęczących jaka jest w obiegu w Rio-

Janeiro, ponieważ różnemi czasami wypływające do Indji wschodnich lub do Chin okręty zabiérają z sobą summy bardzo znaczne; z kąd powstaje nagle taki niedostatek pieniędzy, iż potrącanie dochodzi niekiedy do 22 od sta. Bank Brazylski, instytucja zawiązana pierwiastkowo przez prywatnych, a zatwierdzona przez króla w 1808 r. nie opiéra się na dosyć silnych rękojmiach, iżby mogła wynagrodzić niedostatek gotowizny, tak, iż często kilka miesięcy upłynie za nim rzeczy wrócą do dawnego położenia. Oznaczony procent używany w handlu jest 12 od sta.

Miasto *S. Paulo*, stolica prowincji tegoż nazwiska, leży na małéj wzniosłości pośród rozległéj równiny *Piratininga*. Rodzaj budownictwa użyty w niém zapowiada miasto starożytne; wszelako ulice jego są szerokie i czyste; domy, budowane z ziemi (pisé), mają pospolicie dwa piętra. Rezydencja gubernatora, dawne kollegjum jezuickie, pałac biskupi i klasztor Karmelitów, są gmachy dosyć piękne, ale reszta miasta zbudowana jest w stylu dość płaskim.

Jezuici *Nobreya* i *Anchieta* założyli w roku 1552 osadę na tém miéjscu na którem dziś stoi S. Paulo, i pracowali pomyślnie nad nawracaniem *Goyanazów*, pokolenia krajowców którzy te okolice zamieszkiwali. Skutkiém zgody panującéj od początku między Portugalczykami i krajowcami, osada ta wzrosła bardzo szybko, a w epoce kiedy Portugalja i Brazylja przeszły pod berło Fi-

lipa II, Paulitanie byli dość mocni dla oparcia się Hiszpanom, i zamienienia się w niepodległą rzeczpospolitę. Wojna zawzięta którą przeciw nieprzyjacielowi popierać musieli, rozwijając ich energję, nacechowała tém samém ich charakter twardością i gwałtownością; dla tego też niektórzy pisarze mówią o nich jak o ludu nieprzyjaznym wszelkiemu porządkowi prawnemu, i przyznać należy, iż w wojennych wyprawach swoich pozwalali sobie często okrucieństw, które usprawiedliwić mogą te zarzuty. Ale od czasu jak wrócili pod panowanie portugalskie, charakter ich znacznie się zmienił. Jeśli jeszcze zachowali nieco dumy narodowéj, popędliwości, i ducha swobody, są oni obok tego gościnni, życzliwi, otwarci, a pod względem czynności i przemysłu, wyżsi są od innych Brazyljan. Rozpatrując się w kolorze ciała i w rysach mieszkańców S. Paulo, postrzedz można że małżeństwa między osadnikami europejskiemi i krajowcami, były pierwiastkowo liczniéjsze nierównie w téj prowincji Brazylji aniżeli we wszystkich innych. Znajdują się tam w istocie rodziny krajowców którzy zachowali swój ród wolny od pomięszania z Indjanami, i którzy są bielsi niż czyści potomkowie Europejczyków w prowincjach północnych Brazylji. Ale większość ludności składa się z metysów albo *mamelucos* rozmaitych odcieni, od śniadego aż do kawowego koloru: u wszystkich twarz széroka i zaokrąglona, z policzkami wy-

skakującemi, oczy małe i czarne, oraz coś niepewnego w wzroku, zdradzają pochodzenie od Indjan. Zresztą, Paulitanie mają rysy twarzy mocno wydatne i okazujące charakter dumny i niepodległy, oczy ciemne i pełne ognia, włosy czarne i połyskujące, wzrost wysoki, i wielką siłę muszkularną, która wszystkim ich poruszeniom nadaje jakąś żywość i pewność. Siła i zręczność jakie rozwijają ujeżdzając konie niesforne i chwytając za pomocą arkanów dzikie woły, są równie podziwienia godne jak cierpliwość z którą znoszą upał i zimno, głód i pragnienie, pracę najmozolniéjszą i najprzykrzéjszy niedostatek. Mają szczególną skłonność do podróżowania, i Paulitanów można znaleść osiadłych we wszystkich prowincjach Brazylji. Kobiéty Paulitańskie mają kibić wysmukłą, twarz bardzo przyjemną, a płeć świéższą jak inne Brazyljanki. Do tych zewnętrznych przymiotów łączą one wiele naturalności, naiwności i wesołości.

Paulitanie uchodzą za zdolniéjszych do pojmowania nauk poważnych niż inni Brazyljanie. Za czasów jezuickich, oddawali się pomyślnie teologji; dzisiaj w gimnazjum Sgo Pawła czytają z wielką gorliwością klassyków łacińskich; nauka metafizyki nie jest tam zaniedbana, a nawet filozofja Kanta nie jest im obcą. Jedyna bibljoteka znajdująca się w S. Paulo należy do biskupa; zawiéra ona klassyków starożytnych, dzieła teo-

logiczne, historyczne, i bardzo użyteczna jest dla młodzieży odbywającéj nauki w seminarjum miasta tego.

Ludność miasta S. Paulo dochodzi do 30,000 mieszkańców, między którymi blisko połowa jest kolorowych. Ludność całéj kapitanji S. Paulo wynosiła w 1808 r. 200,478; w 1814 r. 211,928, a w 1816 r. 215,210. Stosunek urodzeń do całéj ludności jest jak 1 do 21, a śmierci jak 1 do 46.

Zbytek europejski jeszcze nie zakradł się do S. Paulo, równie jak i do Bahia, Fernambuco i Maranhao; starają się tam w przyozdabianiu mieszkań o czystość i wygodę więcéj jak o blask i okazałość. Co do zgromadzeń towarzyskich, w tonie jaki tam panuje bardzo mało przebija się wpływu europejskiego; muzyka i taniec grają tam większą rolę aniżeli karty, znajduje się również w S. Paulo teatr, ale sztuka drammatyczna jeszcze tam w kolebce zostaje.

Prowincja S. Paulo jest krajem bardzo korzystnym dla chowu bydła, mianowicie rogatego, koni i mułów. Co do płodów osadniczych jak np. bawełny, cukru i kawy, te miernie się tam udają, i mniéj są uprawiane niż w prowincjach więcéj północnych. Wszelako zbiérają ich prawie tyle ile potrzeba dla ludu, resztę wywożą do Rio. Mais i ryż udają się pięknie, i stanowią główne pożywienie ludu. W okolicach miasta S. Paulo, widać wiele ogrodów, w których

uprawiają owoce nietylko krajowe, ale i europejskie, jako to: wisznie, jabłonie, brzoskwinie, orzechy i kasztany, przeniesione dosyć pomyślnie z Europy; ale wino i oliwne drzewa jeszcze się tam dotąd nie przyswoiły.

Klimat miasta S. Paulo, z powodu położenia jego pod zwrotnikiem koziorozca, i wyniosłości nad poziom morza, ma wszelkie korzyści nieba zwrotnikowego, nie mając przytém jego niedogodności; nigdy tam upały nie są nieznośne, a średnia wysokość ciepłomierza bywa 22 do 23 stopni (na ciepłom. 100 stopn.) Różnica pomiędzy temperaturą pory zimnéj (od miesiąca maja aż do września), i pory ciepłéj albo dżdżystéj (od października do kwietnia), jest wydatniéjsza aniżeli w prowincjach północniéjszych. Często dosyć można widziéć w porze zimnéj wyniosłe miéjsca okryte białym mrozem: wszelako, zimno nigdy nie trwa tak długo iżby potrzeba ogrzewać mieszkania.

Uważając pod wszelkim względem, S. Paulo jest prowincją Brazylji przedstawiającą najwięcéj korzyści osadnikom którzyby tam chcieli zakładać kolonje rolnicze i zajmować się chowem bydła. Odnosiliby bez wątpienia nie tak wczesne i nie tak znaczne korzyści jak te które dobywanie złota z kopalń w innych prowincjach brazylskich znajdujących się przynosi, pewniby jednakże byli że pomyślność swoją na silnéj i trwałéj budują podstawie.

XIV.

MEXYK, przez P. WARD

sprawującego interesa Króla Jmci Angielskiego w tym kraju. 2 Tomy in 8. Londyn 1828.

Autor tego dzieła przepędził trzy lata w Mexyku, w charakterze załatwiającego interesa Anglji, przy rządzie nowéj Rzeczy pospolitéj Mexykańskiéj. Postrzeżenia które ogłosił o stanie politycznym handlowym i przemysłowym tego kraju, są najświeższe, autentyczne i zajmujące. Nie tai on jaka jest dziś trudność opisywać bezstronnie przedmiot którym się zatrudnia, a nadewszystko w taki sposób aby podobał się powszechnéj opinji w Anglji, która obłędnioną jest w rozmaitym kształcie. »Trzy lata temu, mówi w przedmowie swojéj, niewolno nawet było wydać się z powątpiewaniem względem tego co głoszono o niewyczerpanych środkach tego kraju; teraz, przez inną ostateczność, najgruntowniéjsze mniemania przyjmowane są z niedowiarczym uśmiechem, skoro tylko nie zgadzają się z przychylném wyobrażeniem o tym kraju. Takowy stan umysłów musiał koniecznie wypłynąć ze sposobu postępowania entuzjastów i tych co na entuzjazmie drugich widoki swe zasadzali, odkąd

granica dawny świat od nowego dzieląca obaloną została. Ci ludzie pracowali nad podniesieniem wyobraźni nieświadomych, ukazując stan rzeczy jaki nie istniał nigdy. Podług nich, południowa Ameryka, od jarzma hiszpańskiego wolna, wystawiała przyszłość nieograniczonéj pomyślności, bez żadnych przeciwności. Niezawodny i prędki skutek miał uwieńczać wszystkie przedsięwzięcia w tych stronach szczęśliwych, a to i w tenczas nawet, choćby się nie używało środków rozsądnych, których użycie gdzieindziéj przez doświadczenie pokazało się koniecznem. Znajomość czasu, wytrwałość, przemysł, znajomość głęboka ludzi i miéjsc, uważane były za mało znaczące. Kapitałów tylko było potrzeba, i nic więcéj. Tak to nieszczęsne teorje zajęły miéjsce doświadczeń. Ale wkrótce, po zbytniéj łatwowierności nastąpiło powątpiewanie zacięte, kiedy dowiedziono że zostawano w błędzie; odtąd ugruntowane nawet prawdy urojeniami zwano.

Dzieło pana Ward zawiera ksiąg sześć. Pierwsza, w cztérech rozdziałach, mówi o granicach, geologji, klimacie, płodach, ludności, i o systemie administracji Hiszpanów, będących jeszcze panami Mexyku. Druga mieści historję rewolucji od 1808 do 1824, epoki upadku i śmierci efemerycznego cesarza Iturbide. Trzecia zdaje sprawę o kształcie dzisiejszego rządu, instytucjach, religijnych wyznaniach, wojsku, marynarce, handlu. Czwarta wylicza kopalnie Me-

xyku. Dwie ostatnie mieszczą opis wydarzeń osobistych Pana Ward w czasie jego pobytu w tym kraju. Ostatek zawiéra przydatki udowodniające (pièces justificatives), kilka oryginalnych artykułów, i opis niektórych miéjsc. Nadto dzieło ozdobione jest litografjami licznemi, rysowanemi przez panią Ward, przynoszącemi zaszczyt jéj talentowi. Co do architektury, przekonywają ryciny że w Mexyku przyjęto wyłącznie styl arabski (mauresque). Jest to uwagi godne, że porządek architektoniczny, przez Arabów ludom zachodniéj Europy przyniesiony, przez te znowu do Ameryki przeszedł; i dziwno jest, przebywszy Atlantyk, znajdować w nowym świecie tyle śladów Arabskiego jeniuszu.

Pan Ward w taki sposób poczyna mówić o Mexyku, przedstawiając obraz bogactw natury, oraz ubóstwa i niedbałości mieszkańców.« Mieliśmy w Santa-Fe próbkę gościnności, jakiéj w przechodzie przez *Tierra Caliente* Mexyku spodziewać się należało. Pierwsza wieś, do któréj weszliśmy, jeśli ją tak nazwać można, składała się z kilku chat indyjskich, stawianych z bambusu, a okrytych palmowemi liściami. Coś podobnego do portyku osłaniało wnijście; bambusy były od siebie w pewnych odległościach, przepuszczając powietrze i światło, okien przeto nie było potrzeba, więc ich też wcale nie zrobiono. Każda chata jedną tylko miała izbę, w któréj mieszkał ojciec, matka, dzieci, świnie i

kury. Wszakże niekiedy, starają się oddzielny tworzyć pokój, dzieląc chatę zasłoną, ale ten wymysł zbytku rzadko za potrzebny uważają. Szczęściem kuchnia oddzielną ma chatę. Rozciągnięte maty, już to na ziemi już na bambusach, służą za łożka. Ruchomości gospodarcze były: tykwy do wody, para wielkich kubków do pomarańczowego soku, kamień do mielenia maisu, i nieco naczyń glinianych niezgrabnie sporządzonych. Wszakże te liche mieszkania obfite miały zapasy. Ptastwo, ryż, tortillas (ciasto z maisu) jabłka sosnowe i dostatek pomarańczowego soku, sprawiły nam wyborną wieczerzę; poczém wzięliśmy się do potrzebnych przygotowań dla znośnego przepędzenia nocy. Mieliśmy z sobą kilka ruchomych łóżek miedzianych uważanych za konieczne w podróży po tym kraju. Można je w małą składać objętość, a muł dwa takie udźwignie; składają się i rozkładają łatwo, zapewniając wyśmienity środek do spoczynku. Ale jest prócz tego najgwałtowniéjsza potrzeba, zaopatrzyć się w siatkę przytwierdzającą się do łóżka, dla zasłony od muskitów; bez téj bowiem ostrożności, przybywający do południowéj Ameryki odbiera okropną naukę od tego owadu nienawistnego, którego częste ukąszenia niekiedy gorączkę sprawiają. Postawiliśmy łożka nasze pod dachem przeciągniętym za ściany chaty, a dwaj towarzysze mojéj podróży, doktor Mair i P. Thompson zawiesili sieci u belek dachu. Konie nasze tak-

że osłonione zostały; dano im do zbytku suszonych liści maisu zwanych *Zacata*. Służący nasi, obwinięci w płaszcze, położyli się na ziemi, wziąwszy siodła za poduszki, a ludzie nam towarzyszący osiedli wielki ogień, koléjno czuwając dla odstraszenia złodziejów. Obóz nasz ciekawą dosyć wystawiał scenę, i zrobiliśmy uwagę, iż gdyby stary jaki europejski dyplomatyk widział pierwszy nasz krok w zawodzie amerykańskiéj dyplomacji, nie śpieszyłby bardzo dobijać się podobnego poselstwa.

Widok ogólny kraju oddzielającego Vera cruz od Puenta jest jednotonny. W prawdzie piaskowe wzgórza nie wchodzą w głąb kraju daléj nad trzy mile; lecz przez kilka mil, wegetacja i pustynia walczą o ziemię. Najbogatsze zielonością łany, przedzielane bywają przestrzeniami piasku i skał najeżonych. Po przéjściu dopiéro *Passo de Ovedas* odkrywa się ślad porządnéj uprawy. Ujrzeliśmy tam ruiny wielkiéj fabryki cukrowéj opuszczonéj w czasie rewolucji; na około niéj jest ślad obszernych plantacji. Ale skorośmy się oddalili od rzeki któréj ta urodzajność była dziełem, weszliśmy w pustynię piasku, gdzie jednak tu i owdzie obfita wegetacja zapowiadała przyległość bliskich strumieni. W ówczas to dziwiliśmy się bogatéj rozmaitości roślin nam nieznanych, tak ściśniętych, tak pomięszanych, że oko nawet biegłego botanika nie łatwo by się rozpoznało wśród tego zamętu. Bo gdy każde

drzewo okręcone było gatunkiem powoju lub czepiającemi się okryte roślinami, trudno było rozpoznać kwiaty i owoce drzewa, od kwiatów i owoców pasorzytów. Powietrze pełne było woni przez odloty balsamu od téj rozmaitości kwiatów, których różne i ledwo postrzeżne odcienia walczyły z żywą barwą mnogości. Niekiedy postrzegaliśmy przeskakujące drogę sarny, a w cale nie było widać jaguarów lub innych drapieżnych zwierząt. W całéj *Tierra Caliente*, ledwie trzecia część gruntu jest uprawna, a jednak wszystkie indyjskie chaty do których wstępowałem miały podostatkiem maisu, ryżu, bananasów, pomarańczy i jabłek sosnowych. Płody ogrodu do każdéj chaty należącego, oraz nieco bobu, wystarczają na wyżywienie całéj rodziny, bo Indjanie rzadko używają mięsa. Ptastwo domowe w obfitości dostarcza jaj; zbywające płody niosą do miast przyległych, w zamian za odzież któréj nie wiele potrzebują. Jeśli się konik jeszcze przyda do osady, co zwykle bywa kiedy z białemi się łączą, lasy temu nowemu gościowi zyznéj dostarczają paszy, tak, że w niczém nie powiększa wydatku. Broń, siodło, ostrogi są wprawdzie drogie towary; ale raz nabyte przechodzą z jednéj generacji do drugiéj; a jeśli młodzieniec, za życia jeszcze ojca zdoła własnym je sobie wystarać się przemysłem, wolen zostaje od wszelkiéj podległości.

Pan Ward liczy ośm miljonów ludności mexykańskiéj; mała to jest liczba w stosunku do rozległości kraju, którego dwa ostatnie krańce z południa i południo-zachodu ku północy i północo-wschodowi, obejmują przestrzeń 27 stopni szerokości, a którego największa szerokość od rzeki czerwonéj w Texas, do pobrzeża Sonera pod 30° szerokości północnéj, zawiéra podług Humboldta 364 mil, rachując 25 na stopień.

Przed rewolucją, mówi nasz autor, dzieliła się ludność na siedm odznaczających się kast. 1) Starzy Hiszpanie, imieniem Gwachupinos zwani w historji wojen domowych. (Ci powiększéj części z nowéj rzeczypospolitéj) 2) Kreole biali z czystego europejskiego rodu, ale zrodzeni w Ameryce. 3) Krajowcy z miedzianego plemienia 4) Metysowie, idący z białych i indjan; plemie to zbliża się coraz więcéj do Kreolów, oddalając się od indyjskiego szczepu. 5) Metysowie pochodzący od czarnych i białych. 6) Zambos lub Chinos, z negrów i indjan. 7) Negrowie.

Po czystych indjanach, których ludność wynosi dwa i pół miljona, najliczniéjsi są metysowie, bo mała liczba hiszpańskich niewiast przybyłych w początku do Ameryki, była przyczyną że mięszanina indyjskiéj krwi znajduje się w największéj massie ludności; lecz trudno byłoby oznaczyć ich liczbę dokładnie, bo klassa ta niknie przez niedojrzane odciena w massie białych, których przed rewolucją liczono 1,200,000 licząc, w to 70 do

80 tysięcy europejczyków. Równie wiedzieć nie można z pewnością o liczbie Mulatów, Zambów i innych powiązanych rodów; bo śród ludności z tak różnych żywiołów utworzonéj, gagunki mięszają się i nieskończenie odcieniają przez połączenia swoje. Sami nawet indjanie, co na pierwszy rzut oka zdają się jedną i tę samą tworzyć massę, wynoszącą blisko dwie piąte całéj ludności, dzielą się i poddzielają na liczne odmiany. Winienem, kończąc ten spis ludności Mexyku, uczynić uwagę, że kraj ten ma wielką korzyść przed sąsiedzkiemi, nie wiele licząc niewolników negrów. Ich przywóz nigdy znaczny nie był; a w początku rewolucji nie przenosili oni 6,000 głów. Z tych jedni wymarli, drudzy zostali wolnymi, inni weszli w szeregi niepodległych, tak dalece że teraz ani jeden w części środkowéj Rzeczypospolitéj się nie znajduje, a przywóz jak najsurowiéj zakazany jest prawami. W czasie uroczystości doroczném odbywającéj się w Mexyku 16 września, na pamiątkę ogłoszenia niepodległości przez Hidalgo, zwyczaj jest nadawania wolności pewnéj liczbie niewolników; roku 1826 doznano już trudności w zebraniu żądanéj i potrzebnéj liczby niewolników, a pewny jestem że żadnego w tym roku nie znajdą.

Korzyści z tego niedostatku niewolników, znane są tym co widzą niedogodności i niebezpieczeństwo innego rzeczy porządku. Wiadomo, że nawet w Krajach Zjednoczonych niewolnicy, mulaci i

negrowie wolni, są nieustannėm zródłem zamieszek i trwogi. Pan Ward wchodzi w zajmujące szczegóły systemu holonjalnego hiszpanów; wykrywa nadużycia które były główną przyczyną rewolucji; przechodzi zdarzenia rozmaite które wstrząsały krajem od 1808 r. a w historji lat późniéj upłynionych, pokazując nam ludzi i stronnictwa znaczniéjsze, stawia czytelników w możności sądzenia w jakim stopniu niepodległość Mexyku, zagrożoną być może przez dawnych panów jego. Granice tego artykułu zabraniają nam rozszérzać się nad tą zajmującą częścią dzieła.

»Konstytucja Rzeczypospolitéj Mexykańskiéj, mówi on, przepisaną jest z konstytucji Krajów zjednoczonych Ameryki północnéj; lecz surowość z jaką mexykańska wyłącza wyznania przeciwne kościołowi rzymskiemu, stanowi różnicę znaczną między niemi. Kiedy rewolucja wybuchła, z łona duchowieństwa niższego, powiększéj części złożonego z Kreolów, wyszły najczynniéjsze podniety nowego rzeczy porządku, a nawet niektórzy z główniéjszych dowódzców wojskowych, Hidalgo, Morelos, Matamoros i wielka innych liczba byli proboszczami lub xiężmi bez parafji.«

Autor przytacza szczegóły rozległe o handlu i przychodach rzeczypospolitéj w r. 1827. Pod tym względem widzi on na przyszłość zaspokajającą zupełnie rękojmię. W 4 xiędze, jedynie kopalniom poświęconéj, widzi równie pomyślne na-

dzieje, mimo szwanków licznych, jakich ziomkowie jego dla przywłaszczenia sobie tych bogactw doznali w przedsięwzięciach źle prowadzonych. »Wybór kopalni, mówi, czyniony był zwykle stosownie do podań zawartych w dziełach Humboldta. Wszelkie kopalnie, o których nie wspominał w swojém *Essai Politique* porzucone były bez żadnéj uwagi, a te o których wspominał korzystnie, chciwie poszukiwane; w tym razie, szacowne to dzieło zgubny wpływ miało na przedsięwzięcia spekulantów i kapitalistów: nie dla tego iżby to z błędów autora pochodziło, lecz ponieważ wyciągnięto z podań przez niego poczynionych, błędliwe wnioski. Pan Humboldt nie utrzymywał wcale aby kopalnia dostarczająca w roku 1802 dostarczała w roku 1826. Chciał on dać ogólne wyobrażenie o zasiłkach jakie ten rodzaj przemysłu podawał Mexykowi; a nie mógł lepiéj tego dokazać, jak wystawiając już otrzymane rezultata, jako skazówkę tego czego się jeszcze spodziéwać można. Ale, na nieszczęście, spekulanci angielscy zwrócili całą uwagę na te kopalnie, nie lękając się, czy one przez kruszec wydobywany i wydobyty nie będą wyczerpane. Nie utrzymuję jednak aby wszystkie kopalnie przez Towarzystwa angielskie zatrudniane, wyczerpane były; sądzę owszem, że obficie wynagradzać mogą w czasie, łożone na nie koszta. Jednakże te kapitały mogłyby korzystniéj być gdzieindziéj wyłożone.

Mineralogja zajmuje ważne stanowisko w historji Mexyku, bo kopalnie i rolnictwo najgłówniéjszemi są źródłami bogactw w tym kraju. Płody kopalne znajdują się tam w prawdzie w obfitości, ale zbożowe są rzadkie, i Pan Ward nie zdaje się mniemać aby wywóz zboża mógł kiedy stać się korzystną gałęzią handlu. Kopalnie więc, podług niego, są podstawą na któréj spoczywa pomyślność rolnictwa i handlu. Kopalniom osoby zbogacone w Mexyku byt swój winne, a one to zachęcają do środków publicznych ulepszeń. »Jeśliby, jak niektóre mniemają osoby, mówi on, kopalnie Mexyku wyczerpać się miały kraj ten nie tylko straciłby pierwszy żywioł swego handlu, lecz zasiłki jego wewnątrz zmniéjszyłyby się jeszcze w stosunku do zmniéjszonego handlu. Rolnictwo ograniczy się tylko dostawą na potrzeby mieszkańców; a miasta, których jedynym przemysłem była praca około kopalni, stałyby się tém czém były w czasie rewolucji, obrazem spustoszeń i nędzy; mieszkańcy ich cofając się z drogi cywilizacji, zmuszeni byliby życie koczownicze pędzić i chwilowych zapasów w utrzymywaniu bydła szukać. Dowód tego co utrzymuję widać na różnicy jaka zachodzi między małym posiadaczem, mieszkającym w okręgu odległym od stanowisk handlowych, a rolnikiem którego własność jest w bliskości kopalni. Tamten niema ani potrzeb, ani nawet znajomości ucywilizowanego życia. Okryty odzieniem ze skóry lub grubéj wełny, w pro-

stocie obyczajów, która tchnie niewiadomością i grubijaństwém, najczęściéj przepędza czas w próżniactwie i w tenczas tylko pracuje kiedy go do tego nagląca zniewoli potrzeba: drugi coraz bardziéj przemyślny, w miarę jak z pracy swojéj coraz więcéj zbiéra korzyści, doznaje potrzeb cywilizacji i oraz nabywa środków aby im zadosyć uczynił. Umysł jego staje się przychylniéjszym dla sztuk i przemysłu europejskiego; stara on się dla swoich dzieci o wychowanie jakiego młode jego nie miały lata; wreszcie, jest użytecznym członkiem społeczności. Któż, widząc takową różnicę, nie uzna ważności téj gałęzi przemysłu co podobne wydaje skutki, i co je sama tylko wydać jest zdolna; bo powtórzyć to muszę, Mexyk bez kopalni pomimo urodzajności swojéj, nie mógłby zająć miéjsca w rzędzie państw ucywilizowanych.»

»Na pobrzeżach, płody które my towarami kolonjalnemi zowiemy, mogłyby zawsze wprawdzie dostarczać żywiołu handlowi; przypuściwszy jednak że płody te do najwyższéj już doszły ilości, nigdy jednak nie wystarczą na zamianę wyrobów potrzebnych dla ośmiu miljonów mieszkańców. Wywóz z Mexyku ograniczyłby się wanilją i koszenillą których naturalne ma monopoljum, ale w ówczas wyroby w zamian za to odbierane z Europy ledwieby dla dwudziestéj części ludności wystarczyły. Szczęściem jednak, nic nie każe wątpić aby kraj ten zagrożony był

zmniéjszeniem kopalnych materjałów; owszem, wszystkie poszukiwania przekonywają, że niewyczerpane posiada zapasy.«

Wszystkie kopalnie Mexyku znajdują się na przestworze rozciągającym się ku północy, otoczonym łańcuchem Kordiljerów i Andów. Niziny między atlantyckiém i spokojném morzém, tworzące południową stronę tego kraju, są jedynie przeznaczone na rolnictwo.

Kończąc tu wzmiankę o szacowném dziele Pana Ward, (które, jak donoszą, na język francuzki ma być przełożone), damy w późniéjszym artykule, kilka nowych szczegółów o kraju który on opisał, a któremu przyrzekł wzrastającą pomyślność przyszłości. Lecz w téj chwili, kraj ten wystawiony jest na łup nowych zamieszek. Wojskowy zamach poniósł postrach, rabunek i śmierć na łono stolicy. Setne padły ofiary. Pospólstwo w każdym kraju chciwe zdobyczy podniosło swe niszczące i krwawe ręce na własności i osoby; a dowódzcy wojskowi, równi między sobą, współzalotnicy chwały na polu bitwy, zapaśnicy znaczenia w pokoju, uzbroili stronników swoich i walczą do upadłego dla opanowania władzy. Niewiadomo przy kim ostoi się zwycięztwo.

XV.

JOURNAL OF A SECOND EXPEDITION, etc.

Dziennik drugiéj wyprawy do środka Afryki, z odnogi Benińskiéj aż do Saccatou; przez CLAPPERTONA *kapitana z królewsko-angielskiéj marynarki, z dołączeniem Dziennika* RYSZARDA LANDER, *opisującego podróż od Kano aż do brzegów morza, drogą więcéj ku zachodowi idącą.* (W Londynie 1829).

Z licznych owoców badań i postrzeżeń nieszczęśliwego kapitana Clapperton, pozostał tylko dziennik jego, ocalony przez wiernego sługę Ryszarda Lander, którego czułe starania osłodziły ostatnie chwile nieszczęśliwego pana, na jego rękach zgasłego. Przydać więc dziś należy imie Clappertona do sławnych imion Mungo-Parków, Belzonich, Burkchardtów, Laingów, i tylu innych mężów pełnych gorliwości i odwagi, którzy tak jak on stali się ofiarą zgubnego dla Europejczyków klimatu.

Hugo Clapperton, urodzony r. 1778, był młodszym synem świetnéj rodziny w hrabstwie Dumfries w Szkocji. Doszedłszy lat młodzieńczych, wszedł on do marynarki kupieckiéj; a za powrotem z jednéj wyprawy handlowéj, został, wraz

z wielu towarzyszami swymi, przymuszony do służenia na okręcie do marynarki królewskiéj należącym. Jego nienaganne postępowanie i protekcja jednego ze stryjów, wyniosły go jednak niezadługo na stopień *Midshipmana* (dozorcy w marynarce). Był on mocnéj budowy ciała i miał siłę Herkulesa, obok nadzwyczajnéj zręczności. W czasie jednéj wyprawy w wyższéj Kanadzie, gdzie miał sobie powierzone dowództwo oddziału, odznaczył się na nowo męztwem swém i ludzkością, a pozyskawszy protekcję P. Owena, został przez niego naprzód posuniony tymczasowo na porucznika, późniéj zaś przedstawiony do wynagrodzenia adminiralicji. Jedna okoliczność z życia Clappertona z téj epoki zasługuje abyśmy ją tu przytoczyli. Przeznaczony w czasie zimy do zostawania w małéj forteczce nad jeziorem Huronskiém, miał tylko słaby oddział do jéj obrony i jedno działo małego kalibru, kiedy w tém uderzył na niego z przemagającą siłą szoner amerykański. Twierdza została w krótce tak zniszczoną przez ogień nieprzyjacielski, iż nie było innego ratunku dla dowódzcy, jak poddać się na łaskę, lub rozpaczy słuchając cofnąć się na lody jeziora *Michigan*, dla dostania się z tamtąd do najbliższego jakiego punktu angielskiego, w odległości mil 60. Mimo niebezpieczeństw grożących w téj podróży pośród najmocniéjszych mrozów, wszyscy wyruszyli dla przebycia jeziora. Ale zaledwie dzie-

sięć mil uszli, młodzieniec jeden, przejęty zimnem, nie był w stanie iść daléj. Towarzysze jego oświadczyli zgodnie, iż utrudzeni i zkościali od zimna nie byli zdolni nieść chorego, zaledwie wlekąc się sami. Clapperton nie mógł przemódz na sobie aby opuścić ni szczęśliwego w tém okrutném położeniu. Wziął więc młodzieńca na barki, utrzymując go prawą ręką, a w drugiéj niosąc kij dla podpiérania się na śliskim lodzie. Uszedłszy tym sposobem 8 lub 9 mil śród najokropniejszéj zawiéruchy, poczuł nareszcie że młodzieniec już go się wcale nie trzymał; był on już konający, i w kilka minut wyzionął ducha. — Cierpienia tych co go przeżyli nie były mniéjsze. Nie mogli więcéj wziąść z sobą, dla utrzymania się przez drogę, nad jeden wórek mąki, i nakoniec przybyli do Yorku, stolicy Wyższéj Kanady, bez pończoch, bez obuwia i głodem wycieńczeni. Lewa ręka Clappertona, którą trzymał na barkach swych młodzieńca, była odmrożona, musiano mu więc odjąć wielki palec.

W r. 1807, będąc na połowie żołdu, Clapperton powrócił do rodziny swojéj, do Szkocji; w 1820 r. poznał się w Edymburgu z doktorem Oudney, który sposobił się w ówczas do podróżowania w Afryce. Znudzony bezczynnością swoją, oświadczył doktorowi gotowość towarzyszenia mu w téj niebezpiecznéj wyprawie; ten, wiedząc o nieulękłości i szlachetnych przymio-

tach Clappertona, uderzony nadto widokiem jego atletycznego składu ciała, który zapowiadał w nim konstytucję zdolną do oparcia się wpływowi najbardziéj morderczych klimatów, z radością przyjął ofiarę jego. Szczęśliwszy w ówczas aniżeli doktór, który jak wiadomo, zginął w podróży, Clapperton zwiedził Bornu, doszedł aż do Soccatou, gdzie najlepiéj przyjęty został przez sułtana Bello, który panował nad Fellahami albo Fellatahami, i nakoniec powrócił do Anglji z majorem Denham, zebrawszy zapas zupełnie nowych wiadomości o wnętrzu Afryki. Przed tymi wędrownikami, sądzono o mieszkańcach nieznanych krain téj części kuli ziemskiéj, jedynie z smutnych próbek dostarczanych do osad przez handel niewolnikami. Denham i Clapperton widzieli ludy czarne, z rysami mniéj nikczemnemi, zamieszkałe po miastach, podlegające naczelnikom więcéj lub mniéj zręcznym w rządzeniu, mające prawa, rękodzielnie, i handel zaszczytniéjszy aniżeli niewolnikami; znaleźli nakoniec cywilizację poczynającą. Szeik w kraju Bornu i sułtan Bello, podług ostatnich wiadomości, są bez wątpienia ludźmi pogardy godnymi. Clapperton miał z sobą list który czarny sułtan przesyłał bratu swemu królowi angielskiemu, i w którym oświadczał mu chęć zaprowadzenia stosunków przyjacielskich między dwoma ludami. Oświadczał on iż chce miéć u siebie konsula angielskiego, któryby rezydował w porcie

morskim Raku; pragnął otrzymywać wyroby rękodzielni angielskich; prosił o lekarza któryby był przywiązany do jego królewskiéj osoby; obiecywał niedozwalać handlu murzynami i wzbraniać ich wyprowadzania przez kupców z Hussa, w krajach Ataghers, Dahomey i Aschantji.

Lord Bathurst, sekretarz stanu w osadach, skwapliwie przyjął myśl zawarcia przymierza z Fellatami, i wszystko przysposobione zostało do nowéj wyprawy. Zaledwie wypocząwszy po trudach podróży swojéj, Clapperton ofiarował znowu usługi swoje, i został mianowany naczelnikiem tego przedsięwzięcia. Tym razem przyjął do towarzystwa kapitana Pearce z marynarki królewskiéj, biegłego rysownika, oraz doktora Morrison, chirurga i uczonego naturalistę. Pozwolono mu również wziąść z sobą jednego z ziomków jego, Szkota nazwiskiem Dickson, który służył jako chirurg w Ameryce. Przysposobiono stosowne podarunki dla sułtana Hussy i szeika Bornu; i nakoniec cztéréj podróżni, ze swymi służącymi, wsiedli 25 sierpnia 1825 na okręt angielski *Brazen*, i przybyli do Whidah, 26 października tegoż roku. Dostawszy się do zatoki Benińskiéj, P. Dickson którego los jest dotąd tajemnicą, wysiadł na ląd w Whidah, i w towarzystwie Portugalczyka pewnego nazwiskiem Sousa, który niejaki czas w Dahomey zamieszkiwał, udał się do tego miasta gdzie był dobrze przyjęty, i odesłany z eskortą do innego miasta zwanego Shar, o 17 dni o-

długości. Ztamtąd wyruszył do Youri, i późniéj już o nim nic więcéj nie było słychać.

Okręt *Brazen* z resztą wędrowników miał się udać pod wodę rzeki Benińskiéj, ale angielski kupiec nazwiskiem Hutson, mający udział w handlu murzynami, odwiódł Clappertona i jego towarzyszów od tego zamiaru, gdyż, jak twierdził, król w tych okolicach panujący miał być bardzo na Anglików zagniewany, z powodu ich usiłowań w tamowaniu handlu niewolnikami, który główną gałęź dochodów jego stanowił. Hutson radził im aby wylądowali w Badagri, porcie sąsiedzkim, ofiarując się towarzyszyć im w podróży; przybyli tam 29 października. W Whidal napróżno dowiadywali się o sułtanie Bello, o posłach których miał wysłać naprzeciw podarunkom króla angielskiego, oraz o portach Funda i Raku. Wszystkie te nazwiska nie były znané na wybrzeżu, i wiadomo teraz, że dwa te miasta leżą o dwieście mil w głębi kraju, że Raku nie znajduje się nawet nad żadną rzéką, i że ani jedno ani drugie z tych miast nie zostawało pod panowaniem sułtana Bello.

Królowie Youribo i Badagri najuprzejmiéj przyjęli podróżnych, i spełniali z nimi rzęsiste puhary. Opuszczając Badagri, 7 grudnia, Anglicy przybrali do towarzystwa krajowca jednego z Hussa, nazwiskiem Pascoe, który już służył za tłumacza nieszczęśliwemu Belzoniemu. Popłynęli w czółnach jedną gałęzią rzéki Lagos, aż

do zatoki Gazic, gdzie na ląd wysiedli. W okolicach tych dopuścili się nierozwagi, przepędzając noc pod otwartém niebem na wilgotnéj ziemi. »Poranek był mglisty, mówi Clapperton, a lubośmy odpoczywali nad brzegiem rzéki, nie słyszeliśmy wszelako brzęczenia mustyków, które nam aż dotąd tak dokuczały.« Noc następującą przepędzili również bez pokrycia na placu targowym w Dagmu wielkiém mieście, gdzie mogliby byli miéć tyle domów do noclegu ileby żądali. Pojąć nie można, mówi jeden z angielskich dzienników, jak dawny chirurg i dwaj officerowie morscy, mogli popełnić tak niebezpieczną pod zwrotnikiem nieroztropność, spiąc na otwartém powietrzu. D. 10 Clapperton dostał febry; we trzy dni późniéj, doktor Morrison, kapitan Pearce i Ryszard Lander, kolejnie zachorowali. Odbyli w tym stanie 70 mil na łożkach wiszących, oprócz Clappertona, który w części na koniu, w części pieszo podróż odbywał. Mieszkańcy kraju nie szczędzili najczulszych starań, oddawali im na mieszkanie najpiękniéjsze swe domy, i zaopatrywali ich we wszystko co najlepszego posiadali. Około 23, doktor Morrison, czując się być niezdolnym do odbywania dalszéj podróży, chciał powrócić do miasta Jannah, zkąd dwoma dniami pierwéj wyruszyli; Hutson towarzyszył w mu tym powrocie. Inni podróżni zatrzymali się w małém miasteczku, gdzie jeden ze słażących umarł, a 27 wieczorem kapitan Pearce wy-

dał ostatnie tchnienie. »Zgon jego, mówi Clapperton, przejął mnie najżywszą boleścią; oprócz osobistych przymiotów, był on zdolny uczynić wielkie przysługi wyprawie naszéj, przez swoje talenta i wytrwałość. Nigdy nie opłakiwałem z większą goryczą straty przyjaciela. Zwłoki tego nieszczęśliwego pochowane zostały uroczyście w obecności naczelników miasta; mieszkańcy otoczyli palissadami mogiłę jego, i wznieśli nad nią szopę; Lander zaś położył na mogile deskę z napisem. We dwa dni późniéj przybył Hutson, przynosząc wiadomość że doktor Morrison umarł w Jannah, tegoż dnia co i kapitan Pearce, i że ostatnią przysługę oddano mu w obecności naczelników i wszystkich mieszkańców miasta.

Kraina między Badagri i Jannah jest bardzo ludna; wszędzie gdzie ziemia nie jest okryta pięknemi lasami, uprawione są pola maisem, rozmaitego rodzaju ignamami i innemi roślinami; znajdują się tam również w obfitości drzewa owocowe pomarańczowe i inne. W ciągu drogi podróżni angielscy spotkali znaczną liczbę mieszkańców płci obojéj niosących na głowach płody krajowe. Dobrzy ci ludzie klaskali w ręce, śpiéwali chórem, przyklękali i okazywali przez najdziwaczniéjsze giesta całą roskosz jakiéj doznawali na widok ludzi białych. Wsie i miasta znajdowały się w bliskości od siebie położone; niektóre z tych ostatnich mogły zawiérać 8 do 16,000 mieszkań-

ców; miasto Jannah było najznaczniéjsze ze wszystkich.

»Przybywszy tam wieczorem, mówi Clapperton, udałem się z P. Hutson na zwiedzenie całego obwodu. Za nami szedł tłum niezmierny, który w miarę jakeśmy postępowali ciągle wzrastał; wszyscy okazywali wiele grzeczności: mężczyzni zdejmowali czapki, kobiéty przyklękały na dwa kolana opierając się jednym łokciem o ziemię, a drugi ręką podpiérając. Kiedyśmy powracali słońce już zachodziło. Przeszliśmy przez rynek. Był on jeszcze dobrze zaopatrzony w bawełnę, w sukna krajowe, żywności i owoce, niektóre pomarańcze, cytryny, jagody rozmaite, bananasy oraz jarzyny, jakoto: cebulę, gatunek czosnku, pieprz i gummę służącą do posiłku, ignamy gotowane i *acassoa* (rodzaj ciasta z tłuczonego maisu obwiniętego w liście). Tam, tłumy mieszkańców poruszały się w massie jak morze, mężczyzni przeskakiwali przez koszyki z żywnością, dzieci tańczyły pod nakryciami, kobiéty śpiewały i wrzaskiem swoim głuszyły kupujących; pośród takiego jednak zamięszania, nie postrzegłem jednego spojrzenia krzywego, jednego słowa nie usłyszałem któreby nam przykrém być mogło... Winienem tutaj, jako świadectwo poczciwości murzynów tych krain, przytoczyć okoliczność bezprzykładną: przebiegliśmy mil 60 z znacznym pakunkiem, przymuszeni dziesięć razy przybiérać innych ludzi do noszenia rzeczy, pomimo te-

go jednak nic straciliśmy ani jednego szylinga wartości. Okoliczność ta dowodzi nietylko poczciwości więcéj niż zwyczajnéj mieszkańców, ale nawet pewnego stopnia posłuszeństwa i porządku w działaniu rządu, których zapewne nieprzypuszczano pomiędzy ludami aż dotąd za barbarzyńskie uważanymi.

»Mieszkańcy Jannahu są bardzo przemyślni; celują oni w wyrzynaniu na drzewie; ich drzwi, sprzęty, bębny, okryte są figurami które wystawiają ludzi, wężów, krokodylów, i t. p. Liczne warsztaty były w tenczas czynne. Widziałem w niektórych domach niekiedy do dziesięciu warsztatów zatrudnionych. Ich przędze bawełniane są dosyć cienkie, a tkanie w nich jest trwałe. Wyrabiają oni także garnki dosyć dokładnie.

»Stary *Kabosir* (naczelnik miasta) zdawał się być zachwycony widokiem cudzoziemców. Przeznaczył nam dobre mieszkania i przysłał dla nas wieprzów, kaczek, gołębi, owoców, legumin, wszelkich nakoniec płodów krajowych, kiedy tymczasem kobiéty jego, w liczbie dwustu, sławiły przybycie nasze wesołymi śpiéwami. Naczelnik ten nie mógł pojąć jak anglik mógł przestawać na jednéj żonie, a kiedy mu to potwierdzono, wraz z dwustu kobiétami swemi śmiał się do rozpuku. Miał on na sobie obszerną suknię z adamaszku amarantowego i czapkę z różowego axamitu; ale w czasie obrzędu przyjmowania nas, zmieniał po trzykroć ubiór, coraz

świetniéjszy przybierając. Dziedziniec lubo obszerny napełniony był ludem, i taki ścisk panował, iż ledwie mały przesmyk zostawiono naprzeciw miéjsca w którém znajdowaliśmy się. Tam to jego wysokość zaprowadziła P. Hutson i mnie, trzymając nas za ręce, i tam wykonaliśmy taniec afrykański, z wielkiém zachwyceniem patrzących. Gdyby w tenczas biedny Pearce był się znajdował, jakże wyborny miałby przedmiot do karykatury! ileżby miał roskoszy przenosząc na papiér postać starego i czarnego królika, kołyszącego się majestatycznie w swojej adamaszkowéj sukni, w towarzystwie urzędnika ogonowego, i zwracającego starą i pomarszczoną twarz, już ku mnie, już ku P. Hutson, wykręcającego się nagle na jednéj nodze, idącego następnie krokiem wolnym i uroczystym, plączącego swe ręce z naszemi, i dumnego że tańczył z ludźmi białymi.«

Podróżni nasi przybyli wkrótce do łańcucha gór przerzynajacego kraj cały, przy granicy Jourriba, i mającego około 80 mil szerokości. »Droga ta przez góry przedstawiała piękne i wspaniałe widoki. Niekiedy szła w kierunku poziomym, niekiedy znowu spuszczała się pomiędzy skałami w głębokie przepaści, gdzie się kręciła po ścianach ponuréj skały. Massy granitu wisiały nad naszemi głowami w przerażającéj i wątpliwéj równowadze. Przy każdéj rozpadlinie, w każdém miéjscu gdzie jaka kępka mura-

wy na światło wydobyć się mogła, znajdowały się małe chatki otoczone plantacją rzepaku, ignamów albo fig, co urozmaicało i rozweselało te dzikie sceny. Droga szła z góry na górę, aż do wielkiego i ludnego miasta Chaki, leżącego na najwyższym szczycie. Z każdéj strony, na płaskich wzgórkach, na pochyłościach, na skałach, i przy drogach, tysiące gromadziło się mieszkańców. Kobiéty z wzniesionemi rękami pozdrawiały nas śpiéwami chorowemi i zwykłymi sobie oznakami radości. Kabosir siedział przed domem otoczony żonami swemi, śpiéwakami, śpiéwaczkami, doboszami, oraz grającymi na piszczałkach i tamtamach. Był to człowiek przystojny, około 50 lat mający, i bardzo przyjemnéj fizognomji. Dom jego był przysposobiony na nasze przyjęcie; kazał zaraz przyniéść nowe zapasy mięsa koźlego i baraniego, oraz ignamów, prosząc nas z uprzejmością, abyśmy jeden albo dwa dni z nim pozostali. Zdawał on się uważać nas za posłańców pokoju, którzy przybyli rozsiéwać błogosławieństwa na monarchę i kraj jego. Jest między tymi ludami mniemanie, które wiele ma nad nimi mocy, iż my przeznaczeni jesteśmy do zanoszenia pokoju tam gdzie wojna panuje, i czynienia dobrze wszystkim krajom przez które przechodzimy. Kabosir miasta tego powiedział nam o tém, i miał nawet nadzieję, iż za pośrednictwem naszém ustanie wojna między ludem Nyffa i Fellahami, oraz że uśmierzymy powstanie niewol-

ników w *Hussa*, którzy zbuntowali się przeciw królowi Yourriba. Kiedym go ścisnął za rękę, wyciągnął on ją nad głowami wodzów swoich, jak gdyby dla udzielenia im części błogosławieństwa człowieka białego. Zdawał się być ciekawszym i otwartszym jak wszyscy krajowcy których dotąd spotkaliśmy, i siedział z nami prawie do północy, rozmawiając i zadając nam pytania o Anglji. Zapytaliśmy go czyby chciał chętnie posłać którego z swych poddanych wraz z nami, dla zwiedzenia naszego kraju: powstał na to z radością, wołając że uda się sam z nami do Anglji. Smiał on się mocno, podobnie jak kolega jego z Jannah, kiedyśmy mu powiedzieli, że Anglicy jedną tylko mogą mieć żonę: co do niego, posiadał on ich dwa tysiące; była to piękna armja czarnych amazonek.

»Spuszczając się z gór tych ku północy, napotkać można miasto Kousou, mające około 20,000 ludności, i rozległą dobrze uprawną płaszczyznę, okrytą wioskami Fellahów. Mieszkańcy ich, tak jak w większéj części Sudanu, trudnią się paszeniem bydła, i mają obyczaje łagodne i niewinne ludów pasterskich. Droga którąśmy się udali następnie, przed przybyciem do Eyeo albo Katungi, stolicy Yourriba, przedstawiała nam ciąg jeden wiosek opuszczonych i miast więcéj lub mniéj zniszczonych przez napady Fellahów z Saccatou, i przez zbuntowanych niewolników Hussa. Na domiar nieszczęścia,

mieszkańcy lękać się jeszcze musieli sąsiadów swoich z Borgho, ludu srogiego i chciwego łupów. Przez cały czas jakeśmy przy granicy kraju tego posuwali się, mała karawana nasza ciągle była pod bronią. Przybyliśmy z tą wojenną postawą do roskosznéj doliny rozciągającéj się aż do Thau, która jest zasadzona bananasami lub innemi wielkiemi drzewami z szerokim liściem, zacieniającemi łąki i świetne wód zwierciadła. Kobiéty hebanowego koloru ciała powierzały swe wysmukłe i przyjemne kibici pieszczotom wód przejrzystych, kiedy tymczasem barany ich i kozy pasły się spokojnie na łąkach.... Ku wieczorowi, przysłany z Katungi *Kabosir*, przybył z licznym orszakiem konnicy i zbirów, dla przeprowadzenia nas bezpiecznie aż do króla kraju Yourriba. Ludzie ci napełnili ulice małego miasta Tshaou, bijąc w bębny, śpiéwając, tańcząc i pożerając wszelką żywność jaka się tylko znalazła. Wyjechaliśmy nazajutrz pod zasłoną oddziału tego, który rozwijał się w ciągu podróży bardzo malowniczym sposobem. Niektórzy z przewodników naszych okryci byli grubemi sukniami, innych okrywały rozmaite amulety; zbiry mieli małe kapelusze z rogoziny, ozdobione piórami; u pasa zaś wisiał sajdak skórzany strzałami napełniony. Wszyscy ludzie szybcy i zręczni, zdawali mi się być najlepszém wojskiem, jakieśmy dotąd widzieli w téj okolicy i w Sudanie; konnica jednak miała konie

zbyt małe, a żołnierze tak niezgrabnie trzymali się na siodłach źle przytwierdzonych, iż angielski kawalerzysta konno, długim tylko uzbrojony kijem, łatwoby ich w biegu mógł pozsadzać.

»Przybyliśmy do bram Katungi, miasta przyjemnego, zbudowanego w amfiteatr, na spadku i do koła podstawy małego pasma granitowych wzgórzów, których szczyty tworzą pewny rodzaj cytadelli. Otoczone gęstymi lasami i opasane murem ziemnym 20 stóp wysokim, a około 15,000 st. obwodu mającym, ma prócz tego do koła rów suchy, a wchodzi się do niego dziesięciu bramami. Domy są z ziemi stawiane i okryte trzciną; kolumny utrzymujące pawilony i drzwi ozdobione są płaskorzeźbą, wystawiającą węże boa duszące antylopy, wojowników z orszakiem doboszy i muzykantów, i t. p. Otoczeni eskortą naszą, oraz najlepszymi muzykantami z miasta, i tłumem mężczyzn, kobiét i dzieci poruszających chmury kurzawy, a pomiędzy któremi ludzie królewscy z wielką trudnością robili dla nas przejście za pomocą biczów i kijów, których jednakże oszczędnie używano, przebywszy pięć mil drogi, dostaliśmy się nareszcie do miasta, gdzie nas król Yourriba oczekiwał. Siedział on pod pawilonem przed mieszkaniem swojém; dwa parasole czerwone i dwa niebieskie rozciągnięte były nad głową jego, za pomocą długich kijów opartych na ziemi i utrzymywa-

nych przez niewolników. Ciche rozmowy główniéjszych Kabosirów z królem, kazały mi się obawiać, aby nie wymagano od nas zwyczajnéj ceremonji rzucania się twarzą na znak uszanowania i hołdu. Oświadczyłem więc, iż gdyby tego żądano, oddaliłbym się natychmiast, i że pozwoliłbym jedynie na zdjęcie kapelusza, skłonienie się i podanie ręki królowi, gdyby mu to przyjemném było. Uwiadomiono o tém monarchę, który zezwolił, i przystąpiliśmy ku niemu.

»Przed królem, miéjsce około 20 prętów średnicy mające było zupełnie wolne, a kiedy nas wziął za ręce, wzniosł je po trzykroć, powtarzając: *Ako, ako?* (jak się macie?). Kobiéty skupione za nim, stały ciągle i witały nas wołając: *oh! oh! oh!*..... Trudno je było policzyć; a król nawet sam powiedział nam że nie wie ich liczby, ani ile miał dzieci; lecz że kobiéty same, gdyby się trzymały za ręce, wyciągnęłyby linję od Katungi aż do Jannah. Król okryty był białą *tobe*, albo szeroką koszulą, na drugiéj białéj. Miał na szyj trzy sznurki kamieni niebieskich, które dostaje kraju leżącego między jego posiadłościami a Beninem, na głowie zaś miał koronę z tektury, w formie koron europejskich, okrytą niebieską bawełnicą..... W Yourriba, królowie umierają w dobrém towarzystwie; dla pogrzebania umarłych wykopują dół głęboki w który kładą trupa siedzącego, z łokciami od rąk między kolana założonemi.

Ubogich grzebią bez obrzędów; przy pogrzebie bogatego strzelają z fuzji, a przyjaciele i krewni piją rum na grobie i w domu nieboszczyka.« Dziwna jest rzecz, że zwyczaj ten topienia zgryzoty w winie, i wyprawiania bankietu po śmierci, znajdujemy na zachodzie i wschodzie, na południu i na północy: Szkocja, Grecja i Afryka, mają w tym względzie podobneż zwyczaje. W historji narodów byłoby podobieństwo to ciekawém, i okazałoby może, że klimata i pokolenia nie czynią tak wielkiéj różnicy w obyczajach; i że w tym samym wieku cywilizacji, ludy mają postać jednéj rodziny i zadziwiające przedstawiają podobieństwo. Kiedy król Yourriba umiéra, Kabosir Jannahu, trzéj inni główni Kabisorowie, cztéry kobiéty, i znaczna liczba niewolników ulubionych i innych, muszą zażyć truciznę, przyrządzaną przez człeko-fetysza w jaju papugi. Jeśli trucizna nie jest dostateczną do zabicia ofiary, każdy z poświęcających się ma sznurek na którym wiesza się w własnym domu. Nie poświęcają tam ofiar publicznie, a przynajmniéj ofiar z ludzi, i nikomu nie było wolno towarzyszyć dowieczności królowi zmarłemu, ponieważ nie zakończył życia śmiercią naturalną, ale zamordowany został przez jednego z synów, który jednak nie jest królem dziś panującym.«

Clapperton opisuje widowiska teatralne które król kazał przedstawiać dla Kabosirów przybywają-

cych mu złożyć zwykły hołd podległości. »Miéjsce na tę rozrywkę wybrane było w parku królewskim, przed główną bramą, gdzie zwykle król zasiada. Aktorowie obszernemi okryci workami, i mając głowę ozdobioną fantastycznie wstążkami, jedwabnemi, damaszkowemi i bawełnianemi, najświetniéjszych kolorów, siedzieli pod drzewami; ludzie królewscy, stali w pogotowiu dla utrzymania porządku i wstrzymania ludu od ciśnienia się na miéjsce przeznaczone dla aktorów; a orszak muzykantów znajdował się na boku, bijąc w bębny, świszcząc, trąbiąc, bez ustanku i wypocznienia. Pierwszy akt składał się z tańcu dziwnie pięknie wykonanego, jeśli zważymy że aktorowie skaczący, przewracali się i taczali najwyborniéj, nie widząc nic, i nie mogąc używać rąk i nóg. Drugim aktem było polowanie na węża *boa constrictor*. Jeden z tych ludzioworków stanął naprzód przed towarzystwem na rękach i nogach: w ówczas wystąpiła postać wysoka i wspaniała, któréj strój głowy i maska zbyt trudne są dla mego talentu do opisania: postać ta była koloru bronzowego, i podobieństwo miała już to do lwa leżącego na wierzchu kasku, już do głowy czarnéj okrytéj niezmierną peruką; każde poruszenie przedstawiało twarz odmienną i nowe podobieństwo. Osoba ta trzymała w prawéj ręce szpadę, i zdawała się być z ubioru i giestów aktorem głównym.

Rodzaj ten naczelnika aktorów zbliżył się do człowieka na czworakach stojącego, i dał znak swą bronią; drugi tancerz wystąpił i przyłączył się do pierwszego, spody worków zszyto następnie do kupy, i obadwa w jedną osobę się zamienili. Naczelnik zaczął znowu machać po powietrzu szpadą z taką siłą, iż obawiałem się aby która głowa nie spadła, wszyscy albowiem aktorowie zgromadzili się koło niego; ale wszystko się oddaliło; zostawszy sam z workami, naczelnik machał jeszcze szpadą z tryumfującą postacią, i widowisko się zaczęło. Ukazała się naprzód głowa węża boa; usiłował on ukąsić naczelnika, i znowu oddalał się dla uniknienia grożącéj mu szpady, a wyczołgawszy się dosyć powoli z worka który go ukrywał, ukazał nakoniec całe ciało węża doskonale naśladowane, oprócz tego jedynie, że brzuch był nieco za bardzo wyładowany. Zwinne poruszenia węża z szczególniéjszą oddane były prawdą; otwierał on i zamykał bardzo naturalnie paszczę, która jak się zdaje była rękami aktora. Mógł mieć około 14 stóp długości, a materja która okrywała to niezmiernie ciało, naśladowała wybornie skórę węża boa. Kiedy zwierz ten ścigał przez czas niejaki człowieka do koła parku, zawsze usiłując go ukąsić, i zawsze odparty, wszyscy inni aktorowie zbliżyli się na znak dany przez naczelnika, który zrobił zręcznego młynka bronią swoją, zdając się ucinać ogon

wężowi. Boa zaczął się w ówczas rzucać i kręcić jak gdyby był bliski zgonu; aktorowie zamaskowani wzięli żdychającego na barki; a ten otwierając i zamykając swą paszczę, jakby w ostatnich konwulsjach, został zaniesiony w tryumfie do domu poświęconego. W trzecim akcie widzieliśmy *Białego djabła.* Aktorowie oddalili się w tył sceny, i jeden tylko na niéj pozostał. Worek jego zaczął się powoli zsuwać i wkrótce ukazała się głowa biała, którą z powszechnemi przyjęto okrzykami. Lud był widocznie zachwycony doskonałością sztuki aktora, którego ciało zaczęło się stopniowo ukazywać; ujrzeliśmy nareszcie istotę podobieństwo człowieka mającą, jakby ugniecioną z białego wosku, średniéj wielkości, nadzwyczajnie wychudłą, i która zdawała się drżéć od zimna. Często robiła poruszenie jakby zażywała tabakę, i zaciérała ręce. Chodziła bardzo niezgrabnie, tak jakby postępował najzniewieścialszy człowiek biały, pierwszy raz nogi na lodzie stawiając. Widze, zachwyceni widokiem téj karykatury, uważali jakie na mnie robić będzie wrażenie. Zdawałem się być zadowolony; aktor bowiem dość dobrze grał rolę swoją, i to zakończyło widowisko, którego między-akta zapełnione były chorami śpiewanemi przez kobiéty królewskie, przy towarzyszeniu całego zgromadzenia.....«

(*Dokończenie nastąpi.*)

Do karty 303 =

ROZMAITOŚCI.

Myśliwstwo amerykańskie na pszczoły. — We wszystkich stronach Ameryki północnéj są teraz znane pszczoły, bo jak powiadają, nie widziano ich tu wcale przed przybyciem Europanów. Indjanie w swoim języku nie mający dla nich nazwiska, zowią je angielskiemi muchami. Miód jest bardzo tani we wszystkich dawnych osadach, a znaczna liczba rolników miéwa do trzydziestu ulów pszczół: ale prócz tego codziennie w lasach odkrywają drzewa, których wydrążone pnie dostarczają od 70 do 150 funtów miodu. Sposób dochodzenia drzew takich jest szczególniéjszy. Wysłane do tego osoby łapią pewną liczbę pszczół na kwiatach obok lasów rosnących, wsadzają do pudełka, na dnie którego jest cokolwiek miodu, i przykrywają je naczyniem szklanném dla wpuszczania światła. Gdy się pszczoły nasyciły dostatecznie miodem, puszczają parę uważając starannie jaki wezmą kierunek, aż póki je z oczu nie stracą. Myśliwy (tak bowiem nazywają łapiących pszczoły) posuwa się ku miéjscu, gdzie przestał je widzieć, i znowu daje jednéj lub dwom wolność, uważając, jak to z pierwszemi uczynił, dokąd polecą. To, powtarza się aż dotąd, dopóki nie ujrzy iż pszczoły nie idąc w kierunku poprzedzających, biorą zupełnie przeciwny. Jeśli to nastąpi, myśliwy poznał że przeszedł cel swoich poszukiwań; bo przekonano się

powszechnie, że jeśli schwyta się pszczołę na kwiatku, rosnącym w jakiejś odległości na południe drzewa do którego ona należy, i gdy się w najściślejszém nawet zamknięciu przeniesie ją na północ tegoż drzewa, skoro się tylko wymknąć będzie mogła, opisawszy w locie koło, prosto zmierzać będzie ku domu, nie zbaczając wcale ani w lewo, ani w prawo. Podług tego tedy, myśliwy uzbrojony w cierpliwość, przezorność i wytrwałość, pewny jest zawczasu skutku, bo kierunek jaki pierwsza pszczoła wypuszczona bierze, niezawodnie prowadzi do drzewa gdzie rój którego jest członkiem mieszka. Tak więc, gdy pszczoły wypuszczone kolejno na wolność, zmieniają lot zwracając się ku miéjscu zkąd je niesiono, myśliwy wie że minął drzewo szukane; stara się tedy je znaleść w pośród tych które w tym samym kierunku stoją. Byłby to zachód bardzo trudny dla poczynających; ale przemysł amerykańskiego myśliwca odkrył mu sposób przywabiania pszczół, gdy już niedaleko jest drzewa gdzie miód składają. Na cegle ogrzanéj kładzie on miód, wczasie topnienia, zapach dolatując do rzeczypospolitéj ma tyle dla niéj pociągu, że wychodzi rojem opuszczając swą cytadellę i leci na wyszukanie miodu do miéjsca zkąd do niéj tak powabny zapach doleciał. W ówczas myśliwy ścina drzewo, a ilość miodu wynagradza obficie wytrwanie jego. Takie to szczegóły mogłem zebrać o tych użytecznych i

zajmujących owadach, a nieznanych prawie w naszych krajach, gdzie mamy pszczoły domowe, nie prowadzące takiego życia jak te co w pustyniach i lasach nomadują (*).

Siła morska królestwa Niderlandzkiego, *w styczniu* 1829. Eskadra na morzu śródziemném składa się z 12 statków mających razem 244 armat i 1677 ludzi osady; eskadra w Indjach Wschodnich, z 6 statków, i 184 armat i 1,107 ludzi; flotylla w Indjach zachodnich z 4 statków o 74 armatach i 445 ludzi osady. Żegluga kommunikacyjna złożona jest z 3 statków, 22 dział, i 108 ludzi. Statki krążące są: *Sumatra:* 44 armat, 317 ludzi. Statków na stanowiskach stojących jest 4, z 152 armatami i 600 ludźmi. Ogół siły czynnéj jest 30 statków z 720 armatami i 4,314 ludźmi. Siła morska nieczynna, składała się na początku roku tego z 63 statków. Ogół statków tak czynnych jak i nieczynnych wynosi 93, która to jednak liczba ma być podniesiona w ciągu dziesięciu lat przyszłych do 131 statków, z których 12 okrętów linjowych, 33 fregat, 36 korwet, bombardjer i brygów, oraz 50 innych statków.

Nowa wyprawa do bieguna północnego. — Kapitan Ross kazał zbudować dla wyprawy do bieguna północnego parowy statek *Victory*, o 200 beczkach ciężaru, któremu będzie towarzyszył

(*) W naszych lasach znajdują się podobne pszczoły.

inny statek żaglowy *John*, o 320 beczkach, naładowany materjałami opałowemi, żywnością i innemi przedmiotami; pierwszy mieć będzie 20 ludzi osady, drugi zaś 40. Wyprawę tę różnić będzie to od wszystkich poprzedzających, iż pierwszy raz do wyprawy tego rodzaju użyty będzie statek parowy. Spodziewają się najpomyślniéjszych skutków z użycia tego sposobu. Znaczne ulepszenia zrobione zostały w machinie parowéj okrętu *Victory*; koła mają kształt nowy, a budowa ciosiołki okrętowéj jest taka, iż ciśnienie lodów jakie wyprawa w żegludze spotka, miasto zgruchotania, będzie go tylko mogło podnieść. Gdyby pary zabraknąć miało przez jakie wydarzenie, koła będą mogły być dowolnie odjęte, i w krótkim czasie *Victory* zamienionym by został na okręt żaglowy. Nie będzie tam z resztą komina, a machina jest o wysokiém ciśnieniu. Inną jeszcze korzyścią jest, iż wszelki rodzaj materjału opałowego może być użyty, jak np. drzewo rosnące w obfitości na brzegach północnych Ameryki, tłustość z cieląt morskich, tran wielorybi, niedźwiedzi i t. p, które można znaleść wszędzie na lodach w tych północnych okolicach morza. Wyprawa powyższa nie będzie odbyta na koszt rządu angielskiego, a kapitan Ross nie starał się o inną pomoc, oprócz o pozyskanie mu kilku narzędzi astronomicznych, których admiralicja, towarzystwo królewskie umiejętności i inne towarzystwa uczone, chętnie mu

udzieliły. Oba statki popłyną naprzód do zatoki Lankastra; zwiedzą kanał Xięcia-Rejenta i przypuścić należy, że w tych okolicach znakomite zrobią odkrycia, za pomocą pary i łodzi. Skoro wyprawa przybije do brzegów amerykańskich, zwiedzi je, a szczególniéj te części, których kapitanowie Beechey i Franklin nie mieli czasu rozpoznać. Kapitanowi Ross towarzyszyć będzie synowiec jego tegoż samego nazwiska, który już towarzyszył kapitanowi Parry w ostatnich podróżach jego, i który uważany jest za jednego z najzdatniéjszych i najdoświadczeńszych oficerów marynarki angielskiéj. Wyprawa opatrzona jest w żywność na lat trzy, i miała wypłynąć w połowie zeszłego miesiąca.

GAZETA PODRÓŻY I JEOGRAFJI.

AMERYKA. Droga żelazna którą budują przez całą szérokość międzymorza Panama, będzie wkrótce ukończona. Miasta Oanama i Puerto-bello, między któremi droga ta ustanowi łatwiéjszą kommunikację aniżeli za pomocą kanalu, staną się najpiérwszemi składowemi punktami świata

ANGLJA. Nowa wyprawa do Afryki. Pomyślny skutek przedsięwzięcia sławnego P. Caillé, obudził w ministerjum angielskiém chęć uczynienia nowych usiłowań celem zebrania jeszcze obszerniéjszych wiadomości o częściach wewnętrznych tajemniczéj Afryki. Wybór osoby do spełnienia poleceń tak niebezpiecznych, padł na kapitana West, który szlachetnie przyjął na siebie tę missję. Uda on się naprzód do Konstantynopola, dla uzyskania firmanów sułtana, do rozmaitych naczelników muzułmańskich w Afryce, i spodziéwają się że podróżny ten będzie mógł dostać się tak jak P. Caillé aż do Tombuktu.